

6) **PAMIĘTNIKI EDWARDA GORONA**

b. prefekta paryskiej policji śledczej.

(Ciąg dalszy).

— Jeżeli pan nie poczuwa się do winy, — odrzekłem mu, — to nie masz prawa pozbawiać się życia: przeciwnie, obowiązkiem pańskim jest dowieść swej niewinności. Proszę, powróć pan do domu i oczekuj, dopóki pana nie wezwie komisarz. — Poczem udałem się do p. Collas'a i wręcz mu oświadczyłem:

— Podług mnie, człowiek ten jest niewinny.

— Bardzo być może, — odpowiedział p. Collas, — ale trzeba tego dowieść. Czemże można wytłumaczyć całe to oskarżenie?

Co się zaś tyczyło oskarżyciela, ojca dziewczki, to o osobie jego zebrano jaknajbardziej szczegółowe informacje. Był to, w całym znaczeniu tego słowa, spryciarz, ale skryty, skromny, trzeźwy i nikt z jego towarzyszy nie mógł dać o nim złego świadectwa.

— Czy wie pan co? — zwróciłem się do p. Collas'a — proszę, pozwól mi pan jeszcze raz zbadać, jak się należy, ojca tej dziewczki.

Mój naczelnik chętnie się na to zgodził, dodając, że robotnik ów właśnie znajduje się w jego kancelarii. Kiedy wszedł, zadałem mu jeszcze parę pytań, które jednak nie wyjaśniły nic zgoła osobliwego: ponowił jeno swoje wymysły, oskarżając swego pracodawcę o przestępstwo, które, stosownie do jego słów, było bardziej podle od morderstwa. Usunąwszy go do drugiego pokoju i nie pozwoliwszy mu widzieć się z córeczką, poleciłem wezwać do siebie dziewczę, posławszy uprzednio po cukierki.

Począłem od tego, żem poczęstował ją przyniesionymi łakociami i dopóki jeszcze z zadowoleniem ssła karmelek, powiedziałem jej uprzejmie:

— Posłuchaj, kochane moje dziecko, tyś przecie postąpiła bardzo źle i Bozia cię skarże. Tyś przecie skłamała: tyś nigdy nie była w pokoju tego pana?

— Bozia mnie nie skarże, — odpowiedziała ona naiwnie, — ponieważ usłuchałam tatusia.

— Dajmy na to, że masz słuszność, — zgodziłem się z nią: — trzeba zawsze słuchać rodziców. Widzę jednak, że masz bardzo dobrą pamięć, ponieważ doskonale nauczyłaś się swej lekcji.

— Prawda, że doskonale? — ucieszyło się maleństwo. — A za to da mi też pan jeszcze cukierków?

Niemaj już co o tem mówić, że, zjednawszy sobie zaufanie dziecka, już bez żadnych trudności dowiedziałem się od niego całej prawdy: okazało się, że ojciec zmusił ją do wykucia na pamięć całego opowiadania, wraz ze szczególnie drobiazgowym opisem pokoju fabrykanta. Poczem, również jaknajprościej, opowiedziała mi wszystkie szczegóły okropnego przestępstwa, rzeczywiście nad nią dokonanego, ale zgola przez kogo innego. Zbrodniarzem był także robotnik, kolega jej ojca, który zakradł się do ich domu, kiedy tam nikogo nie było i dopuścił się ohydneho gwałtu. Nawet nie znała imienia tej kanalii.

Kiedy wezwałem następnie jej ojca do kancelarii, to p. Collas, któremu natychmiast o tem wszystkiem opowiedziałem, zwrócił się doń ze słowami:

— Jesteś pan niegodziwcem! Pańska córka przyznała się do wszystkiego. To pan ją tego nauczył, wiedząc, że winowajcą jest nie pan H. lecz pański kolega z warsztatu.

Robotnik zaszlochał. W istocie powiedział on, p. H. jest niewinny. Wszystko to zrobił jeden z jego przyjaciół, belgijczyk, który wkrótce potem powrócił do ojczyzny. Wówczas przyszło mu na myśl wykorzystać to nieszczęście, by mózdz otrzymać jaknajwięcej pieniędzy od swego pracodawcy, ponieważ dobrze o tem wiedział, że p. H. jest bardzo bogaty. A ciągle tego oczekiwał, że fabrykant zaproponuje mu znaczną sumę, za niewszczywanie sprawy.

Można wyobrazić sobie, z jaką radością nieszczęsny H. wysłuchał całej prawdy o tej strasznej sprawie, która o mało co nie kosztowała go dobrego imienia. Teraz mógł już wszcząć przeciw łotrówi kryminalny proces o fałszywe oskarżenie, ale nie zechciał z tego prawa skorzystać i nawet sam prosił o umorzenie dochodzenia, obawiając się jaknajzasadniej, że się zawsze znajdą ludzie, którzy powiedzą:

— Niby to tak, ale właściwie nie ma dymu bez ognia i, kto wie, bardzo być może, że nie jest on bez winy!

Przykład ten, który stwierdził mi najwyraźniej, w jakim stopniu polegać można na zeznaniu dziecka, zawsze mi potem na myśl przychodził: od tego czasu nigdy nie dowierzałem relacjom dzieci, nie sprawdzając ich równie skrupulatnie, jak sprawdzałem zeznania jakiegokolwiek złodzieja albo też spółnika przestępcy. Pod tym względem, dzieci są znakomitymi aktorami, ponieważ odgrywają swoją rolę z najzupełniejszą szczerością, w przeświadczeniu, że postępują dobrze, słuchając wskazówek swych rodziców. A czy nie oglądamy codziennie dzieci, grywających na scenie i zdumiewających publiczność szczerością swej gry. Strachem przejmuję myśl, ile to sądowych omyłek ma się do zawdzięczenia właśnie nazbyt łatwowiernie przyjmowanym zeznaniom dzieci.

Sądowa pomyłka, dzięki której spada głowa niewinnego człowieka, sama myśl o czem przejmuję zgrozą sędziego i uczciwego agenta policji — zawsze jest, niestety, możliwa, wobec współczesnych warunków naszego prawodawstwa i uniknąć jej bywa zazwyczaj nie tak łatwo, jakby się to mogło zdawać. Oto dla czego przez cały czas mojej służby

wszelkimi siłami starałem się, o ile było to w mojej władzy, aby kara śmierci — ów wymiar sprawiedliwości, który już cofnięty być nie może — była stosowana jeno do tych przestępców, których wina nie tylko że zostawała udowodniona, ale jeszcze nadmiar stwierdzana własnym ich przyznaniem się. Przekonanie to było we mnie tak silne, że nigdy nie mogłem bez drżenia być obecnym przy wykonywaniu kary śmierci, nawet wówczas, kiedy przestępca nazywał się Prado albo Pranzini. A, im dalej posuwałem się w służbowej mej działalności, tem częściej zapytywałem siebie, czy owa kara nie przewyższa praw ludzkiego wymiaru sprawiedliwości.

Zresztą kwestja kary śmierci jest sprawą takiej wagi i powagi, że poświęcę jej oddzielny rozdział, kiedy będę mówił o mordercach, których niejednokrotnie musiałem budzić w ich celach, w godzinie, kiedy uroczą jutrzienką różowiła horyzont, kiedy rozlegało się szczebiotanie ptasząt, wesoło ćwierkających wśród zielonych liści drzew, i kiedy tam na Placu de la Roquette, straszne narzędzie śmierci — gilotyna — wyciągała swoje ramiona w oczekiwaniu ciągle nowych i nowych ofiar.

Ale, jeżeli z jednej strony prawo bywa nieraz nazbyt okrutne, to zachodzą również często wypadki, kiedy niezrozumiała łagodność wymiaru sprawiedliwości staje się prawie że niesprawiedliwą. Sprawa, o której chcę mówić i która była moim pierwszym debiutem, w tak nazywanych przestępstwach z afektu, może posłużyć za najlepszy tego dowód.

Doktor Z., bon vivant i światowiec, pozostawał w stosunku miłośnym z pewną modniarką, zamieszkałą w okręgu Opery. Niebawem jednak zmienił swą kochankę na miłuchną kwiaciarkę z ulicy Saint - Vincent de - Paul. Zazdrosna modniarka, dowiedziawszy się o zdradzie swego wielbiciela, postanowiła w okrutny sposób zemścić się na rywalce. W tym celu, ukrywając pod chustką imbryk, napelniony kwasem siarczanym, dopilnowała kwiaciarki przy bramie i wylała jej na twarz palący płyn. Ponieważ wszystko to zaszło na ulicy, w biały dzień, to policji zaledwie udało się wyrwać przestępczynię z rąk przechodniów, którzy w przystępie oburzenia, chcieli rozprawić się z nią na poczekaniu sądem Linche'a.

Nieszczęsna kwiaciarka została strasznie oszpeconą i przez długi czas znajdowała się między życiem a śmiercią. A tymczasem występna modniarka dzięki względności przysięgłych, zapewne specjalnie czułych na przestępstwa, spowodowane zazdrością, odkupiła swą okropną zbrodnię, zaledwie jednorocznym zamknięciem w więzieniu. Zresztą owa czołost była ich niewątpliwie odstąpiła, gdyby byli ujrzeli to, co ja w następnym roku oglądałem na własne oczy.

W półtora roku po samym fakcie przestępstwa, zostałem mianowany sekretarzem p. Clement'a, komisarza delegacji sądowych, który wyprawił mnie w jakiejś sprawie, do szpitala Beaujon. Przecho- dząc przez jedną z izb oddziału pralni, dostrzegłem jakąś nieszczęśliwą, której cała twarz była otulona opatrunkiem, a ręce w strasznych ranach. Ku niemałemu memu zdziwieniu, podeszła do mnie i wymieniła moje nazwisko.

— Naturalnie, że mnie pan nie poznaje, — powiedziała — ale ja dobrze pamiętam, jak mnie pan pocieszał, kiedy spadło na mnie to straszne nieszczęście. Jestem panna lks., która została obłana kwasem siarczanym. Boże mój! Czemu ta okropna kobieta nie zabiła mnie, przecie ja teraz wyglądam tak okropnie, że nie mogę się zdobyć na wyjście ze szpitala, gdzie mnie jeszcze z litości trzymają. Co się mnie tyczy, to jestem gotowa wypełniać każdą pracę i pozostawać, o ile to jest możliwe, w samotności, byleby nie pokazywać choremu mego oblicza, wzbudzającego taką grozę.

I w istocie potworność jej była taka straszna, że odwróciłem się pośpiesznie, kiedy zdjęła swój opatrunek, dla pokazania mi twarzy zżartej kwasem siarczanym. Mimowoli przyszedł mi na myśl trędowaty z miasta Aosty. Podobnie jak i on, nieszczęsna ta została odtąd jakby wykluczona z ludzkiej społeczności. I powiedzieć tylko, że zbrodniarka, która doprowadziła do dziewczę do stanu o wiele okropniejszego od samej śmierci, została osądzona tylko na roczne zamknięcie w więzieniu! Teraz była już znowu swobodna, mogła żyć, jak żyją inni, zachowywała swą piękność, — a tymczasem jej nieszczęsna ofiara została skazana na wieczne męczarnie, ponieważ przeświadczenie o swej odstępczającej wszystkich potworności — równa się dożywotniej torturze.

Czy nie wydaje się wam, że jest to straszna niewspółwmierność między przestępstwem a karą? Kodeks karny podciąga tego rodzaju przestępstwa pod kategorię zadania ran i kalectw i, jeżeli poszkodowany może jeszcze władać którymś ze swoich członków, to wymiar kary ulega znacznej redukcji. Taka jest litera prawa karnego, a tymczasem chyba że nie ma przestępstwa, w któremby premedytacja mogła być bardziej zbrodnicza.

Mojem zdaniem, kobieta, cychająca na swego męża lub kochankę z rewolwerem w rękę i przeszywająca go, strzał po strzale, wszystkimi sześcioma kulami, mniej jest winna od tej, która rywalce swej oblewa twarz kwasem siarczanym.

Pod tym względem, staje się, rzecz prosta, konieczne przeprowadzenie reformy prawnej. Należy zresztą nadmienić, że tego rodzaju przestępstwa, t. j. właśnie oblewanie kwasem siarczanym, — nie były jeszcze znane, w chwili ogłaszania kodeksu karnego. (D. c. n.)

TREŚĆ. Bronisław Siwik: Trudne zadania. — Wiedza naukowa w ukształceniu funkcjonariusza policji. — Jan Riabinin: Komisja policji obojga narodów. — Dr. M. Isajew: O policji wzorowej i o policji rosyjskiej. — Przestępczość w Polsce, streszczył Z. T. — Ludwik H. Jacobi: Zasady prawodawstwa i instytucji policyjnych. — Dr. H. Gross: Badanie istoty czynów występnych. — Organizacja rosyjskiej policji politycznej zagranicą. — Jan dr. Schneikert: Portret z pamięci. — Obwieszczenia urzędowe. — Rozkazy Gł. Komendanta P. P. — To co każdy policjant wiedzieć powinien. — A. O. K.: Ru. h. kołowy. — Rozkazy Komendanta st. m. Warszawy. — Bandyci kolejowi we Francji. — Głosy prasy. — Działalność policji. — Kronika — Notes posterunkowego P. P. — Z tygodnia — Ogłoszenia. — Pamiętniki Gorona